

Biblioteka Sejmu Śląskiego

22972

Prof. Dr. LEOPOLD CARO



POGLĄDY GOSPODARCZE ROMANA RYBARSKIEGO

Odbitka z zeszytu IX „Przeglądu Ekonomicznego“, organu
Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego we Lwowie.

L W Ó W 1 9 3 3.

2. -
Prof. Dr. LEOPOLD CARO



POGLĄDY GOSPODARCZE ROMANA RYBARSKIEGO

Odbitka z zeszytu IX „Przeglądu Ekonomicznego”, organu
Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego we Lwowie.

L W Ó W 1 9 3 3.



X-54939
22972. II

22972

II

Eichhorn Katowice 28. XII. 33

cena 225,-



25-

Prof. Dr. LEOPOLD CARO.

Poglądy gospodarcze Romana Rybarskiego.

W Polsce przyjął się fatalny zwyczaj przemilczania naukowych prac ludzi, nie należących do tego samego obozu, co piszący. Zwyczaj to zarówno partyj jak antirządowych. Być może, że istnieje i gdzieindziej, ale stąd nie wynika, aby zatruwał i nasze życie. Co najmniej mamy obowiązek dbać o to, aby nie docierał do tych najwyższych poziomów, jakie w każdym kulturalnem społeczeństwie zajmować winna prawdziwa nauka. Jeśli ma ona mało adeptów, to dlatego tylko, że nie wielu rozumie jej najwyższą wartość.

Nawet konsekwentne przemilczanie ludzi, należących również do wielkiej *respublica litterarum*, nie uprawnia ich do płacenia pięknem za nadobne. Trzeba raz zerwać z tą złą „tradycją“ i poprzez różnice poglądów politycznych wypowiedzieć się szczerze i lojalnie w tej dziedzinie, która nie uznaje żadnych obozów i czei tylko prawdę, w dziedzinie nauki.

Mając zdawna to przekonanie, postanowiłem bądź osobiście omówić po kolei prace wybitnych ekonomistów naszych, bądź za prosić współpracowników „Przeglądu ekonomicznego“ i innych ekonomistów polskich do ich omówienia.

Zaczynam od dwóch prac prof. Rybarskiego, wydanych w ostatnich czasach p. t. „Przyszłość gospodarcza świata“ (Warszawa 1932, str. 228) i „Przyszłość gospodarcza Polski“ (Warszawa 1933, str. 221). Pierwszą omawiam w rozdziale I, drugą w rozdziale II. Piszę o nich obszernie, bo na to zasługują, a nadto, bo poruszają wiele doniosłych problemów, w których mam sposobność się wypowiedzieć.

I.

Zajmująca książka o zawilych problemach gospodarczych teraźniejszości, pisana jasno i przystępnie, jest zawsze godnem uwagi i podkreślenia zjawiskiem. Do pisania o niej skłania mnie i ta okoliczność, że w szeregu uwag autor staje na stanowisku, które zawsze — odmiennie od większości ekonomistów polskich — zajmowałem. Już w przedmowie zaznacza, że rozwojem ekonomicznym „nie rządzą jakieś prawa niezmiennie“, że rozwój ten zależy nietylko „od materialnego podłoża“, ale że jest on wynikiem „wzajemnego oddziaływania różnych pierwiastków dziejowych“. Kładzie nacisk na czynniki pozagospodarcze, a w szczególności duchowe jako doniosłą, choć nie jedyną przyczynę zjawisk gospodarczych, neguje tych zjawisk nieuchronność i potępia fatalistyczne do nich odnoszenie się.

Pisałem w tym samym duchu w okresie powojennym w rozprawie: „Prawdy i prawa w naukach społecznych“ (1921), w książce: „Ku nowej Polsce“ (1925), w rozprawie: „Le matérialisme économique comme un de fondements du marxisme“ (Revue mondiale, maj 1926) i w „Solidaryzmie“ (1931).

Autor w szeregu rozdziałów omawia prócz zagadnienia ustroju pieniężnego szereg zagadnień gospodarczych chwili bieżącej; nie dziwnego, że niejednokrotnie myślący czytelnik jest odmiennego zdania. Autor to przewiduje, z tem się liczy, zgóry zaznaczając (str. 14), że pragnie jedynie pobudzić do myślenia i że ambicja jego nie sięga tak daleko, aby mu we wszystkim przyznano rację. Mówi właściwie więcej, bo nie żąda „aby wierzono w to, co pisze“ — ale wydaje mi się, że istotną jego myśl oddałem w tym wypadku oględniej, niż sam to uczynił.

Niezmiernie aktualne i trafne są uwagi autora, dotyczące nowoczesnej racjonalizacji pracy. Faktem, który w pierwszym rzędzie powoduje powszechne przesilenie, jest nadprodukcja, a nadprodukcja jest następstwem racjonalizacji. Produkuje się tyle, że nie możemy tego żadną miarą sprzedać dla braku nabywców. Nie dlatego, aby ludzie byli już we wszystko zaopatrzeni, ale dlatego, że ci, którym wszystkiego brak — a takich jest najwięcej — nie mają za co potrzebnych im przedmiotów kupić. Wbrew ciasno-burżuazyjnym obawom Malthusa między r. 1913 a 1928 ludzi przybyło zaledwie 10%, surowców i środków żywności 25%. Jeszcze w r. 1925 było zaledwie około pół miliona traktorów rolniczych

w Stanach Zjednoczonych, w r. 1930 liczba ich dąsła do miliona. W okresie 1912—1929 w Stanach Zjedn. przybyło około 15 milionów akrów ziemi zajętej pod uprawę pszenicy. Produkcja jedwabiu w okresie 1913—1929 wzrosła o 111%, kauczuku o 628%, bawełny o 21% i t. d.

A równocześnie ilość robotników zajętych w tej wzmożonej produkcji wszędzie zmalała. Gdzie w budownictwie dawniej potrzeba było pracy przeszło 88 ludzi, dziś wystarcza jeden. W obuwnictwie jedna maszyna luzuje 250 robotników. Elektryfikacja urządzeń w kopalniach węgla pozbawia chleba pół miliona ludzi. Zracjonalizowana praca jednego człowieka, zatrudnionego przy wyrębie drzewa jest dziś przy pomocy maszyn stokrotnie wydawniejszą. Wytwórczość odlewni stali wzrosła w trójnasób. Korzyść z uwielokrotnienia, a tem samem potanienia produkcji, odnosi przede wszystkim przedsiębiorca, który jednak w kalkulacji zysków uwzględnić musi i stratę, poniesioną skutkiem niezamortyzowania maszyn dawnego systemu, zastąpionych obecnie nowymi. Każda racjonalizacja powiększa bezrobocie, co pociąga za sobą powiększenie ciężarów społecznych w postaci podatków i opłat ubezpieczeniowych, uiszczanych przez ogół obywateli. Gdyby racjonalizacja pociągała za sobą znaczną niżkę cen towarów, i to takich, których zwiększona konsumpcja może mieć miejsce, możnaby przyjąć możliwość pełnego zatrudnienia zwolnionych robotników w innych gałęziach pracy. Faktycznie ani tej wydawniej niżki cen, ani utrzymania się cyfr bezrobotnych na tym samym poziomie niema. Przeciwnie, wszędzie pod wpływem racjonalizacji bezrobocie wzrasta a towarów przybywa. Szereg cyfr przytoczonych przez Rybarskiego uzasadnia tę tezę. I tak w Stanach Zjednoczonych w okresie dobrej konjunktury między r. 1919—1929 produkcja jednego robotnika wzrosła o 51%, a ilość ich spadła równocześnie o 6%.¹⁾

¹⁾ Najnowsze daty są wprost przerażające. Jeden z miesięczników nowojorskich, wychodzący pod redakcją słynnego polityka amerykańskiego, b. kandydata na fotel prezydenta Stanów, Smitha, ogłasza obecnie nowela-cyjną serję artykułów pod zbiorowym tytułem „Technokracja“ pióra jednego z najznakomitszych inżynierów amerykańskich, Parrisha.

Parrish pisze: Maszyna produkuje o wiele więcej, niż ludzkość może skonsumować. Wyłaniają się z tego dwa następstwa — albo trzeba wstrzymać rozwój techniki albo zredukować tok pracy ludzkiej. Przed wojną światową była maszyna tylko ulepszonym narzędziem w ręku człowieka. Ma-

Wiemy, jak katastrofalnie spadła dalej w ostatnich trzech latach. Robotnicy ponoszą straszne następstwa przesilenia, którego nie zawinili.

Jeszcze gorzej jest w Europie. W przemyśle szklanym angielskim straciło zajęcie skutkiem racjonalizacji 70% kwalifikowanych robotników, w czepkim 60%; gazownie niemieckie pozbawiły chleba z tej samej przyczyny 50—50%. Podobne przykłady przytacza autor i z szeregu innych gałęzi produkcji, z dziedziny pracy umysłowej. Wedle entuzjastów racjonalizacji mają to być objawy przełotne; twierdzą oni, że rozwój produkcji wchłonie te nadwyżki bezrobotnych. Ale rzeczywistość nie przyznała im dotąd racji, ostatnie lata przesileniowe powiększyły bardzo znacznie zastępy bezrobotnych, a „niejeden przedsiębiorca załamał się na racjonalizacji”. (str. 111). Jeżeli produkcja wzmożła się skutkiem racjonalizacji tak znacznie, że przekracza możność zbytu nawet przy warunkach najkorzystniejszych — a to właśnie ma miejsce w bardzo wielu wypadkach — widocznie jest zbędną. Zapotrzebowanie obuwia, cementu, pszenicy nie może rósć w nieskończoność. Spadek cen pólów rolnych zawiniła racjonalizacja.

Pozatem z przyczyn politycznych i walutowych poszczególne państwa odgraniczają się od siebie wałami celnymi. Produkcja, ograniczona w ten sposób przede wszystkim do zbytu wewnętrznego, tem samem mniej ma powodów do stosowania racjonalizacji, która w naszych warunkach coraz bardziej przestaje się opłacać, zwłaszcza skoro obecnie w szeregu państw (nie w Polsce) dotychczasowy wzrost ludności w powolniejszym odbywa się tempie.

szyna nie czyniła człowieka zbędnym, a tylko ułatwiała jego pracę. Obecnie zmieniło się to gruntownie. W nowoczesnej walcowni stali nie widać np. wcale ludzi, prócz kilku robotników przy dźwigach. Obecnie maszyny produkujące papierosy, dostarczają w minucie dwóch tysięcy sztuk bez udziału człowieka. Jeden robotnik w fabryce żarówek robi w godzinie to samo, co w dziewięciu tysiącach godzin pracy w roku 1914. W najnowszych młynach w Minneapolis dozoruje jeden robotnik dzienny przemiał 30 tysięcy worków zboża. Dzienna produkcja jednego robotnika w nowoczesnej fabryce cegieł wynosi 400 tys. cegieł. W hutach rudy żelaznej robotnik obecnie zastępuje 650 ludzi z przed pół wieku. Amerykański przemysł skórzany produkuje 900 milionów par obuwia rocznie. Kto ma wszystkie te trzewiki nosić? Gdzie jest rynek zbytu dla tych wszystkich aut, cegieł, stalowych wyrobów, środków żywności?

Jeśli przedsiębiorca przeprowadził racjonalizację w okresie wysokich cen i za pożyczone na wysoki procent pieniądze, to może na niej nic nie zarobić, a nawet w razie braku odpowiedniego wzrostu popytu, stracić.

I to, co zwolennicy racjonalizacji opowiadają o samorzutnej obniżce cen pod jej wpływem, nie odpowiada faktom. W Niemczech np. pod wpływem przesilenia obniżyły się ceny surowców i środków konsumpcji, ale ceny gotowych wyrobów przemysłowych, jak maszyn i narzędzi tudzież ceny węgla prawie nie drgnęły. A przecież tu właśnie następowała największa racjonalizacja, najsilniejsza redukcja sił roboczych.

Słusznie pyta Ryłbarski, przytoczywszy wszystkie te argumenty: Czy racjonalizacja spełniła swoje zadanie ekonomiczne? Czy może ona pobudzić dalszą wytwórczość i ułatwić wchłonięcie przynajmniej tych bezrobotnych, których sama na bruk wyrzuca? (str. 118). A w innym miejscu wypowiada życzenie i uważa za prawdopodobne położenie tamy nadmiernym postępom maszynizmu (str. 192). Racjonalizacja zachęca do ciągłego powiększania potrzeb ludzkich, rozdmuchuje pożądania, aby zyskać odbiorców. Maszyna standaryzuje przytem towary, reklama standaryzuje upodobania ludzkie. Człowiek-odbiorca pod wpływem jej rozkazów staje się sam zmechanizowaną i bezduszną jednostką, barbarzyńcą posługującym się najnowszymi technicznymi urządzeniami. Trafnie zauważył Schulze-Gaevernitz, że maszynizm grozi nam upadkiem kultury albo chaosem, „ale niebezpieczeństwo nie tkwi w istocie maszyny lecz w istocie tego mamonizmu, który się posługuje maszyną“. Obecne przesilenie dotknęło przedewszystkiem największe przedsiębiorstwa, średnie i drobne wykazały większą odporność. Przyczyna tego stanu rzeczy tkwi w większym ryzyku pierwszych oraz w wielkim kredycie, udzielonym im w celu podtrzymania cen, a spłata tego kredytu przekracza dziś możność wielkich przedsiębiorstw. Korzystnem dla średnich było, że takiego kredytu nie uzyskały. Znaczne zwolnienie tempa postępu technicznego oraz ograniczenie kredytu waloryzacyjnego może mieć dla życia społecznego tylko dodatnie skutki.

Cennem jest również wykazanie powszechnego dążenia do samowystarczalności, oraz samolubnej w istocie rzeczy treści wezwań zachodu do „międzynarodowego podziału pracy“ z inten-

cją utrzymania nadal zdobytej przezeń dawniej przewagi w dziedzinie przemysłu. Wezwaniom tym towarzyszy bowiem w państwach zachodnich popieranie własnego rolnictwa oraz dążenie do jak największej redukcji importu surowców z krajów rolniczych, którym jednocześnie zalecało się sprowadzanie z zachodu wyrobów przemysłowych. Okazało się w tem świetle, że hasło międzynarodowego podziału pracy nie było niczem więcej jak bluffem na wielką skalę. Utrudnienia imigracyjne popierają tworzenie rodzimych przemysłów w krajach, które dotąd dostarczały największego kontyngentu emigrantów.

Hasło międzynarodowego podziału pracy ogranicza się więc faktycznie do żądania utrzymania nadal monopolu państw z dawną przemysłowych do zaopatrywania w te towary innych krajów spóźnionych w rozwoju procesu uprzemysłowienia. Ale równocześnie utrudnia wpuszczenie do siebie tak płodów rolniczych jak i nadwyżek ludności, nie znajdujących zatrudnienia w kraju, ograniczonym w myśl owego hasła przeważnie do produkcji rolnej. Cóż innego pozostaje w takim razie krajowi rolniczemu jak zaciąganie dalszych długów w kraju przemysłowym i spłacanie nowymi długami długów dawnych? Ale ten proceder nie może trwać długo. Gdy wierzyciel spostrzeży, że dłużnik jest niewypłacalny, każe zaspokoić się fabrykami, bankami, przedsiębiorstwami handlowymi, ziemią. Czyni to samo, co zwykle czynią lichwiarze zawodowi. W ten sposób Portugalia i środkowa Ameryka stały się wasalami, pierwsza W. Brytanji, druga Stanów Zjednoczonych. Polska znajduje się na tej samej pochyłej drodze. Tych konkluzyj wprowadzie autor nie wyciąga, ale wynikają one same przez się ze stwierdzonych przez niego faktów.

Projektowane unje celne i pomysł Paneuropy słusznie charakteryzuje autor jako próby uzyskania zbytu dla nadprodukcji państw przemysłowych.

Rolnictwo wobec rozwoju wielkiego przemysłu pozostało w tyle. W wielkim przemyśle panuje kartel, dyktujący sztywne ceny, uprawia dumping i korzysta w wyższym stopniu z kredytu. Rolnictwo tego wszystkiego nie ma. Nie ma szans tworzenia karteli rolniczych, do których musiałyby należeć miliony ludzi, ani uzyskania tą drogą sztywnych i opłacających się cen płodów rolnych. Należy więc celem przywrócenia równowagi między cenami przemysłowemi a rolnemi uelastyczyć ceny wyrobów przemysłowych.

wych i to dość wcześnie, by tymczasem rolnictwo nie straciło do reszty siły nabywczej, która już dotąd bardzo osłabła.

Mniej zadowalniają inne ustępy książki: Autor zebrawszy duży materiał, nie uporządkował go dostatecznie, wskutek czego sprawa racjonalizacji omówiona jest w rozdziale VII i XII, sprawy populacyjne w V i XI, przyszłość gospodarstwa światowego w VI, X i XIII. Wraca do poprzednio wyrażonych myśli, czasem uzupełnia, czasem nawet modyfikuje wyrażone w innym miejscu poglądy. Unika konkluzyj jawnych i niewątpliwych. Czasem wyraża się nieścisłe. Ma się wrażenie, że autor liczy się z odgłosem, jaki wywoła to, co mówi, u czytelników, innymi słowy, że polityk przytłumia, choć nie zabija, uczzonego.

Jest godnem uznania, że leader stronnictwa politycznego znajduje czas na intensywną pracę naukową, że widocznie studjuje i zna literaturę naukową najnowszą, czego niestety nie można powiedzieć o wszystkich politykach a przytem pisarzach ekonomicznych tak pro jak antirządowych. Ale równocześnie jest przykrem, że autor w książce naukowej, jakkolwiek widzi i rejestruje wiele faktów, których inni nie widzą, pomija je przy wyciąganiu konkluzyj. Dla myślącego krytycznie czytelnika usterka ta zresztą jest mniejszą, niżby się zdawało, niestety tego rodzaju czytelników jest niewiele.

Przechodzę do szczegółów:

Gdy mowa o upadku kapitalizmu, „nie jest jasnem, co ma upadać” (str. 11). Kapitalizm zdaniem krytyków „obecnie po wojnie okazał się niezdolnym do rozwiązania zagadnienia rozdziału bogactwa” (str. 21). Kapitalizm jest ustrojem własności prywatnej, w którym pieniądz osiągnął panowanie polityczne. Nie był więc nigdy zdolnym do rozwiązania zagadnienia rozdziału bogactwa w duchu sprawiedliwości i to nie było jego zamiarem. Głoszący upadek dzisiejszego hyperkapitalizmu, nie głoszą obalenia własności prywatnej, ale haniebnych metod wywłaszczania głupszych przez sprytniejszych, metod wprowadzonych przez kapitalizm a uchodzących za bezkarne w świecie, który za najwyższe hasło postawił sobie zysk, świecie cieżącym najwyżej pieniądź i ledwie tolerującym a właściwie gardzącym wszystkimi innymi wartościami. Że to się wreszcie ludziom uprzykrzyło, jest jasnem i reakcja przeciw panowaniu kapitalizmu jest coraz powszechniejsza. Jest więc chyba jasnem, co ma upadać.

Autor podaje (str. 27) wartość obrotów świata z końcem 18 w. na 1 miliard mk. niem., podczas gdy w r. 1913 wynosiły one około 170 miliardów. Te dwie cyfry zestawień można tylko wówczas, jeśli przeliczymy ówczesną siłę kupna na dzisiejszą. Bez tego nie mówią nic. Czy źródło prof. R.-go tak uczyniło, nie dowiadujemy się z tekstu. Pozatem czy można mówić z okresu końca XVIII wieku o wiarygodnych danych statystyki handlu światowego?

Zdanie: „Kraje ubogie w kapitał miały zwykle bilans handlowy czynny, o ile nie mogły wyrównać go przez napływ turystów i zyski emigracji (Włochy)“, (str. 30) jest niezrozumiałe, chyba że po słowach: „bilans handlowy czynny“, dodamy „ale bilans płatniczy bierny“.

Na str. 60 mówi autor o „należnościach“ Niemiec i o moratorium wymuszonym ze strony niemieckich wierzycieli. Ma być niewątpliwie „należności od Niemiec“ i „niemieccy dłużnicy“.

Na str. 61 autor przypuszcza możliwość wzrostu dobrobytu gospodarczego państwa mimo użycia otrzymanej pożyczki na cele nieproduktywne. Jest to przypuszczenie, które sprawdzać się może równie rzadko, jak główna wygrana na loterii. Logicznym jest tylko wypadek, że dobrobyt wzrastać może jedynie w wypadku, gdy pieniądź użytym został produktywnie. Niemcy, Australia, Węgry są tego dowodem. Użyły pożyczonych pieniędzy na cele nieproduktywne i dlatego właśnie są dziś bankrutami. W narodzie posiadającym tak małe wykształcenie ekonomiczne jak nasz, nie można dopuszczać nawet możliwości metod naśladowania bankrutów, zwłaszcza że nie ma dziś wierzyciela, któryby pożyczał na cele nieproduktywne. Gdyby więc chciano budować za wzorem Niemców stadiony i teatry, a za wzorem Australji wielką stolicę, to wierzycielom musiałoby się to zataić. Byłoby to oczywiście nieuczciwem. Gdyby autor przemyślał zdanie owe do końca, byłby zapewne go nie wypowiedział. Autor narzeka na zwichnięcie równowagi gospodarstwa światowego, będące następstwem ogromnego długu Europy wobec Stanów Zjednoczonych, (str. 62). Ale przecież równowagi nigdy nie było. Skąd pretensja, aby powstała teraz? Panowanie kapitalizmu to właśnie wyraz braku tej równowagi, władztwo silniejszych, niewola słabszych i to tak wśród jednostek jak wśród państw. Metoda pozostała ta sama, stała się tylko przykrzejszą po wojnie skutkiem olbrzymich długów na wojnę zaciągniętych.

Autor rozważa (str. 65) możliwości redukcji długów światowych wobec powszechnego spadku cen i zwiększonej siły nabywczej pieniądza. Gdyby do tego przyszło, zwyciężyłaby na największą skalę zasada równomierności świadczeń w obrocie, zniknąłby z niego pierwiastek aleatoryjny, spekulacyjny, wyzyskania konjunktury, będący jedną z istotnych cech ustroju kapitalistycznego. Nastąpiłby wyłom w ustroju kapitalistycznym, korzystny dla dłużników europejskich, ale zabójczy nie tylko dla wierzycieli amerykańskich, ale i dla samej „zasady”. Czy do tego przyjdzie? Być może. Proroctwa w nauce, operującej tyłoma niewiadomymi, co ekonomika, nie mogą mieć wielkiej wartości.

Na str. 66 twierdzi autor, że Stany Zjednoczone były przed wojną krajem dłużniczym a zaraz potem podaje przywóz do Stanów w latach 1906—1910, 1410 milionów a wywóz 1.829 milionów dolarów czyli nadwyżkę wywozu 419 milionów. Wynika z niej, że już w okresie 1906—1910 Stany przestały być krajem dłużniczym.

Na str. 67 i 154 mówi o „naturalnej grze sił ekonomicznych” a na str. 68 o „międzynarodowej solidarności ekonomicznej”. To są frazesy, godne Casselów i Misesów, którzy oddali swą wiedzę w służbę wielkiego kapitału, ale prof. Rybarski wie chyba dobrze, że poza nimi nie kryje się żadna treść. Jeżeli słusznie na końcu książki kładzie nacisk na czynnik woli ludzkiej i konstatuje (str. 221), że nie ziściła się nadzieja utrwalenia owej „międzynarodowej solidarności gospodarczej”, to winien wiedzieć, że hasło owe ziścić się nie mogło, bo było głoszone nieszczerze, a za niem kryła się faktycznie intencja wysuwania jednych państw przed drugimi i utrzymania nadal uprzywilejowanego stanowiska pierwszych przy pomocy wprowadzenia w błąd opinii publicznej oraz utrwalenia przewagi pieniądza i tych, którzy w ich zdobywaniu wykazują największe kwalifikacje. Ustrój kapitalistyczny to tak samo walka konkurencyjna i walka narodów o miejsce na słońcu. Gdzie tu jest miejsce dla tak wzniosłej rzeczy jak „międzynarodowa solidarność gospodarcza”? Przecież ona przyniosłaby zysk słabszym a więc sprzeciwiałaby się zasadniczej idei kapitalizmu.

Nie zgadzam się z poglądem (str. 75), że przesilenie ekonomiczne tamuje emigrację. Ono raczej zwiększyłoby ją, gdyby nie ograniczenia imigracyjne, o których sam autor dalej mówi.

Dlaczego autor twierdzi, że „wolna konkurencja automatycznie łagodzi wahania cen”? (str. 125). Funkcje „automatyczne” wol-

nej konkurencji w kierunku „łagodzenia“ wahań są co najmniej bardzo wątpliwe. W różnych krajach różni ludzie pod wpływem różnych ustaw ze sobą konkurują. Rezultat nawet wówczas, gdy nie było karteli, bywał niezmiernie rozmaity. Historia gospodarcza, której prof. R. jest tak niepoślednim znawcą, daje tu najlepsze odpowiedzi.

Czy należy zalecić wolną konkurencję ze stanowiska przemysłu? Nie, odpowiada autor, i słusznie, pisząc: „przewaga przemysłu płynie z ograniczenia wolnej konkurencji“ (str. 130). Ale na str. 146, krytykując gospodarkę planową, dodaje, że tam gdzie jej nie ma, „cena towarów kształtuje się swobodnie na rynku“. Należałoby te dwa zdania rozrzucić w książce uzgodnić, aby czytelnik wiedział, kiedy i pod jakimi warunkami wolna konkurencja istotnie wpłynąć może łagodząco na wahania cen, oraz w czym tkwi odrębność przemysłu, zawdzięczającego swój rozwój dzisiejszy usunięciu wolnej konkurencji.

Na str. 158 tłumaczy autor powszechne defraudacje podatkowe spółek akcyjnych i ucieczkę kapitałów wysokimi ciężarami publicznymi i mówi, że państwo daje do demoralizacji mimowoli pobudkę. Uwagę tę uważam za błędną. Z o wiele większą słuszością możnaby powiedzieć, że przyczyna wielu zbrodni tkwi w nierównomiernym rozdziale dochodu społecznego, który zawdzięczamy kapitalizmowi, a jednak zbrodniarz nie przestaje być zbrodniarzem. Tak samo oszustwo podatkowe nie przestaje być oszustwem i nie należy stawać w obronie oszustwa. Wyrażenie, że „czasami“ spółka akcyjna woli wypłacać mniejszą dywidendę a część zysku ukryć w hojnie obliczonej amortyzacji i t. d., uważam za zbyt ogłędne. Na palcach można wyliczyć te przedsiębiorstwa, które płacą dywidendę choćby skromną, największa ich część nie płaci nic, a o ukrywaniu zysków możnaby również bardzo wiele powiedzieć jako o zjawisku dość powszechnym. Różnica jest przytem ta, że głód, a więc przymusowe położenie zbrodniarza, czyni jego postępek, o ile nie przekracza granic koniecznej potrzeby, bezkarnym, ale spółki akcyjne do fałszowania ksiąg i ukrywania zysków składać może tylko chciwość a nie potrzeba.

Groźba ucieczki kapitałów straciła walor z chwilą, gdy we wszystkich państwach istnieją wysokie podatki. Dokąd więc ucieknie kapitalista spragniony państwa, w którym nie płaciłby podatków? Niemieccy kapitaliści ukryli wedle sprawozdania bazy-

lejskiego komitetu w sprawie planu Younga zagranicą 2.4 miliardów mkn, włoscy około 4 milionów lirów, które skutkiem zarządzeń Mussoliniego wróciły do Włoch. Już ta druga cyfra wskazuje, że prawdopodobnie cyfra podana dla Niemiec większych i bogatszych, jest niższa od rzeczywistej. Pozatem, dlaczego mówi się nam, że obliczenie zagranicznych depozytów obywateli polskich jest niemożliwe? A wreszcie, czy deponenci owi na swej nieufności do własnego państwa zyskali? Zdaje mi się, że nie.

O ubezpieczeniach społecznych autor umie powiedzieć tylko tyle, że osłabiają pęd do indywidualnych oszczędności (str. 159) i że sumy w ten sposób uzyskiwane nie zawsze dobrze są zużyte, a czasem stanowią pożyczkę przymusową. Autor nie chce dostrzec, że ubezpieczenia stanowią właściwie uzupełnienie niesłychanie niskich płac, przy których o oszczędności indywidualnej nie może być u nas mowy, że zabezpieczają możność przetrzymania okresów bezrobocia dla wszystkich, pozbawionych od czasu do czasu wedle uznania przedsiębiorców chleba, że tem samem stanowią właściwie wentyl bezpieczeństwa, pożądaný przede wszystkim dla przedsiębiorców, którzy przygotowawszy dzięki racjonalizacji ogromne zapasy towarów, znacznie przewyższające zapotrzebowanie, z lekkim sercem wyrzucają na bruk tych, których pracy zawdzięczają ową nadprodukcję. Cytowany przez p. R. autor francuski pragnie, by zniżka cen nominalnych miała jako następstwo zniżkę płac (str. 159). Byłoby to logiczne, gdyby płaca miała na celu nie wynagrodzenie za pełną wartość pracy, ale dawanie minimum utrzymania wedle prawa płacy Ricarda. Potworny fałsz tego prawa został już ponad wszelką wątpliwość wykazany, z o wiele większą przeto słusnością możnaby domagać się zniżki zysków, które skutkiem racjonalizacji metod produkcji potęgującej wydajność pracy, wielokrotnie a czasem i znacznie więcej, a niestosunkowo mało podwyższonych płac, bardzo znacznie urosły. Prof. R. winien to być odważnie i wyraźnie stwierdzić.

Autor zaznacza, że w Anglii ceny spadły o znaczny procent, a płace obniżyły się bardzo nieznacznie (str. 140). W Polsce ceny wyrobów przemysłowych są naogół sztywne w odróżnieniu od katastrofalnie spadłych cen płodów rolniczych i hodowlanych. Jeśli ceny są sztywne, a w niektórych tylko gałęziach obniża się je o 10%, mogą być sztywne i płace, które zresztą również obniżono o 10—15%. Pozatem dlaczegooby następstw obniżonych cen nie

mał ponosić raczej przedsiębiorca, niż robotnik? Czy tylko zysk jest tabu, którego naruszać nie wolno? Nie mogę więc ubolewać nad „wielkiem obciążeniem przemysłu“ skutkiem ubezpieczeń robotniczych i nie mogę w nich upatrywać „pierwiastku oporu przeciw wytworzeniu się nowej równowagi“. Jakiej równowagi? Czy tej, która polega na 100.000 zł. pensyj miesięcznych dyrektorów z jednej, a głodzie i nędzy mas robotniczych, stwierdzonych w sprawozdaniach inspektorów przemysłowych, w pracach pp. Jastrzębskiego, Krahelskiej, Landaua, Rychlińskiego i tylu innych, z drugiej strony?

Z opowiadania o daleko idącej polityce socjalnej Australji i o jej bankructwie można by powziąć wyobrażenie, że ona właśnie spowodowała dług w wysokości 45 miliardów zł. (str. 142). Stwierdzić więc należy, że wydano je nie na politykę socjalną wobec robotników, ale skutkiem nieuczciwości, gospodarki protekcyjnej i manji wielkości tej części świata.

W Austrii i Niemczech państwo, chcąc ratować tam Creditanstalt, tu Danatbank i Dresdnerbank, udzieliło instytucjom tym swej pomocy, angażując na te cele setki milionów pieniędzy podatkowych (str. 143). Sądzę, że zrobiono źle, że do tego państwa nie miały prawa, a to tem więcej, że same żyją z łaski naiwnych wierzycieli, pchających dotąd olbrzymie fundusze w te beczki Danaid. Pozatem obawiam się, że w instytucjach przejętych przez państwo, które załamały się skutkiem nieuczciwych kalkulacyj swych kierowników, rządzi nadal ten sam duch, jaki w nich rządził poprzednio. Winowajcy katastrof nie poszli pod sąd, przynajmniej nie wszyscy. Dlaczego? Opinia publiczna w obu państwach potępiła tę niewczesną pobłażliwość; ogromne wzmożenie ruchu narodowo-socjalistycznego jest potwierdzeniem tego spostrzeżenia. Wyraża to delikatnie i sam autor, mówiąc, że „obawa przed załamaniem się tej lub innej instytucji kazała państwu ratować to, co trzeba było likwidować“.

W rozdz. X. autor polemizuje z pomysłem gospodarki planowej, nadmieniając, że „bez niepewności nie byłoby życia“ oraz że żadne przewidywania nie usuną wahań, które wprowadza sama natura, nie można bowiem przewidzieć, jaki będzie urodzaj (str. 148). Na to należy odpowiedzieć, że niepewność bytu stwarza nie tylko życie, ale i śmierć i to setek milionów głodnych. Właśnie, aby jej uniknąć, myśli się o przewidywaniu i dostosowaniu produkcji do po-

trzeb. Dziwna rzecz, że produkcja liberalno-kapitalistyczna, tak ściśle związana z racjonalistycznym sposobem myślenia, nie chce tego zrozumieć. Poza to natura nie wprowadza wahań, nie ona bowiem stworzyła ustrój kapitalistyczny. Planowa gospodarka nie zwraca się przeciw rolnictwu, ale przeciw nadmiarowi produkcji przemysłowej, a tu regulacja zależy w stu procentach od naszej woli, o czym wiemy nie tylko a priori, ale i z doświadczenia karteli i trustów.

Rezultatem postępów techniki, pisze autor, jest dziś strata dotkniętych niemi kapitalistów (?), w gospodarstwie planowym byłaby nią strata równomierna wszystkich (ibid.). Ale to właśnie byłoby sprawiedliwsze a przytem znośne. Niema obawy, aby magazyny planowego gospodarstwa nagromadzały towary niemodne, jak obawia się autor (ibid.). Nie o modach, ani o mniejszości zasobnej, która stosuje się do mody, myślą ci, którzy zalecają większą dążność planowości w gospodarstwie. Myślą o setkach milionów głodnych, bez dachu nad głową i bez ubrania ciepłego w zimie.

W gospodarstwie wolnem obrót układa się „w sposób żywiołowy“, krzyżujące się interesy „dążą do stworzenia pewnej równowagi“ (str. 150). Czy tak jest w istocie? Czy nie widzi autor, że w dzisiejszym świecie gospodarczym niema mowy o równowadze, że raczej istotą jego jest walka o przewagę jednych nad drugimi?

W gospodarstwie planowym, twierdzi autor, byłaby kontrola nad zagranicznym kredytem i ostra walka z obcym współzawodnictwem. A czy to byłoby źle? „Kontrola władzy państwowej nad środkami produkcji wiedzie do tego, że się nie chce wpuścić do siebie obcego osadnictwa, że się wprowadza daleko posunięty protekcyjizm“ (str. 150). A czy autor byłby za wpuszczaniem np. do Polski niemieckich kolonistów? Nie, a więc niechże uzna, że Australia i Nowa Zelandja, czyniąc to samo, mogą być w swoim prawie, choć to dla Europy może być niedogodne.

Bankier szwajcarski Felix Somary, głośny ekonomista niemiecki, stwierdza, że nastrój socjalizmu uległ przeobrażeniu w duchu nacjonalistycznym (str. 151). To prawda, ale z tego chyba powinniśmy być zadowoleni, jakkolwiek w walce kapitalizmu z socjalizmem traci się w ten sposób silny argument. Jeśli atoli Somary twierdzi, że w stosunkach państw zsocjalizowanych przyszłości rozstrzygać będą względy polityczne, podczas gdy dziś rozstrzygają pobudki ekonomiczne, to tylko pozornie ma rację. Faktycznie bowiem

właśnie dlatego, że miarodajne są dziś w stosunkach międzypaństwowych względy ekonomiczne, przychodzi do konfliktów politycznych (np. interesy ekonomiczne Rosji w Korei spowodowały wybuch wojny rosyjsko-japońskiej; fakt, że Niemcy były produkcją angielską w angielskich dominjach i kolonjach — stał się jedną z przyczyn wybuchu wojny światowej itd.). Gdyby ogół państw sianął na stanowisku wyłącznie politycznem, tj. samostanowienia narodów, konflikty byłyby rzadsze, a tylko zyski kapitalistów byłyby oczywiście mniejsze.

W gospodarstwie planowem kapitalista „miałby procent od swego kapitału wyznaczony przez państwo, nie mógłby swobodnie swemi kapitałami obracać“. Zarobek przedsiębiorcy byłby oznaczany przez państwo i ograniczyłby się do tantiemy za wydajną pracę. Powtórnie pytam, czy to byłoby złe? Dziś kapitalista lokować może (poza Austrią, Niemcami i Włochami) majątek swój zagranicą, kupować może swobodnie obce waluty. Często traci na tem zamiast zyskać, nadto zaś sprzedając walutę własną, obniża jej kurs, działa więc na szkodę własnego państwa. Czy nie byłoby dobrze ograniczyć tę samowolę? Skoro wedle teorii „klasycznego“ liberalizmu źródłem wszelkiej wartości jest praca, czy nie byłoby konsekwentnem wynagrodzenie przedsiębiorcy tylko za pracę, poza zapewnieniem mu umiarkowanego procentu od włożonego w przedsiębiorstwo kapitału?

Myli się autor twierdząc, że „dawniej państwa absolutne, przynajmniej państwa zachodnie nie wkraczały zbyt głęboko w życie gospodarcze“. Przypominam szczegółowe zarządzenia w epoce merkantylizmu i józefinizmu.

W gospodarstwie planowem, twierdzi autor, dochód jednostki zależeć będzie nie od pracy, lecz od zwycięstwa grupy społecznej, do której ona należy (str. 153). A czy dziś jest inaczej? Mówi się o pracy, bo to dobrze brzmi, ale faktycznie dochód jednostki zależy od koniunktury.

Gdy nastanie gospodarka planowa, „zejdą na plan dalszy sprawy religijne, narodowe, moralno-wychowawcze, a polityka stanie się walką o miejsce przy korycie“. Sądziłem, że tak już jest dawno właśnie dzięki gospodarce kapitalistycznej tudzież że po zaspokojeniu potrzeb gospodarczych wszystkich, ogół będzie miał czas i swobodę myślenia o innych, pozagospodarczych i o wiele wznioślejszych rzeczach.

Autor obawia się nie bezzasadnie, że w państwie uprawiającem gospodarkę planową, grupa ludzi zagarnawszy władzę, dzielić się będzie zyskami z tej eksploatacji. Tak, to być może. Ale czy dziś i w drugiej połowie XIX w. było lepiej? W czasie, gdy eksploatorami są wielcy przedsiębiorcy i wielkie banki, niekontrolowane przez nikogo, one zagarnęły władzę, one dzieliły się zyskami. W gospodarstwie planowem będzie przynajmniej kontrola demokratyczna, której dziś faktycznie nie ma.

Jeśli autor przeciwstawia kryterja ekonomiczne politycznym i na tej zasadzie charakteryzuje przeciwieństwo między gospodarką indywidualną a planową (str. 155), to pomija rzecz najważniejszą: etykę. Powinien przeciwstawić gospodarkę ekonomiczno-indywidualną, liberalno-kapitalistyczną, odmawiającą etyce prawa głosu w sprawach gospodarczych, w miarę planowej, gospodarce etycznej, tj. liczącej się z wymogami i wskazaniem etyki. Ale w takim razie całe rozumowanie autora wypaść by musiało inaczej. Kto będzie w przekształconem państwie przyszłości rzecznikiem etyki? Być może, że zechce nim być państwo. A w takim razie rzeczą reprezentacyjną demokratycznych będzie czuwanie nad tem, aby owe „elity” powagi etyki nie nadużywały dla innych ukrytych celów.

Pozatem mówiąc o „kryterjach ekonomicznych” nie można nazwać ich „objektywnymi”, jak to czyni autor. Kryterja ekonomiczne są zawsze kryterjami warstwy panującej i usiłującej władzę swą nadal zatrzymać, są więc w najwyższym stopniu subiektywne. Jeżeli gospodarka planowa będzie ożywiona pobudkami etycznymi, stworzy warunki lepsze od dzisiejszych a zadaniem wychowania społecznego może być właśnie przygotowanie całego zastępu etycznie myślących ludzi, przeznaczonych na objęcie w przyszłości rządów gospodarczych w państwie.

Kartele i trusty „nie zawsze” regulują ceny i rozmiary zbytu „zgodnie z interesem ogółu” (str. 161). To znowu zbyt oględne wyrażenie. Dla karteli i trustów istnieje wogóle tylko ich własny interes, co jest zresztą zgodne z samą istotą liberalizmu. Interes ogółu jest obojętny; tem lepiej dla niego, jeśli nie sprzeciwia się interesowi indywidualnemu, w przeciwnym razie pierwszy paść musi ofiarą drugiego. Przemysł wojenny dostarcza broni obu stronom walczącym. Anglicy w czasie wojny boerskiej sprzedawali ją boerom. Krupp w wojnie światowej sprzedawał broń za pośrednic-

twem państw neutralnych entencie. Pisze o tem obszernie Otto Lehman Russbüldt w dziele: *Za kulisami wojny* (w polskim przekładzie 1932).

Nie można powiedzieć aby „polityka karteli i innych form koncentracji przemysłu nie godziła się z ogólnymi podstawami obecnego ustroju“ (str. 166), choć pozornie tak wygląda: tu wolność, tam przymus. Ale sięgnąwszy głębiej, widzimy, że tu i tam jest dążenie do zysku. Cel ten próbowano osiągnąć drogą wolnej konkurencji, obecnie próbuje się drogi przymusu kartelowego. Ale „ogólne podstawy obecnego ustroju“ są w obu wypadkach te same. Dlatego też wyrazu: kapitaliści nie opatrzyłbym cudzysłowem. Psyche ich nie uległa zmianie z chwilą, gdy wybrali drogę karteli, pozostali takimi samymi kapitalistami, pracymi bez żadnego względu ku pokonaniu słabszych, jakimi byli dawniej.

Nie państwo stwarza przywileje kartelowe, one tworzą się za jego plecami. Jeśli państwo jest dość niezależne wobec wielkiego przemysłu, obejmuje nad niemi kontrolę. Czy lepiej, skoro kartele są i są tak potężne, że o ich usunięciu i marzyć nie można, aby były niekontrolowane tak samo, jak nim był dotąd przemysł wolno-kapitalistyczny, czy też lepiej, aby państwo, skoro nie ma niktogo odpowiedniejszego, rozciągało nad niemi kontrolę?

Uzależnienie zwiększenia popytu na zboże etc. tylko od przybytku ludności (str. 178) nie jest wyczerpujące — drugim warunkiem jest jeszcze, aby tę ludność stać było na zakupno owego zboża. Jeśli warunek ten się nie ziszcza, pali się zboże lub zatapia w morzu a nie daje się go głodnym, bo toby się sprzeciwiało „ideologii“ liberalno-kapitalistycznej.

Na str. 205 powiada autor, że obecne przesilenie jest wyrazem już dawniej istniejących wewnętrznych sprzeczności w gospodarstwie społecznem, mając na myśli, że w jednym państwie przeważały pierwiastki gospodarstwa planowego, w drugim indywidualnego. Wyraźnie pisze: „Liberalizm i socjalizm składały się na jeden twór, niezbyt zdolny do życia“. Zdaniem więc autora ten stan rzeczy spowodował przesilenie. Ale już o dwie strony dalej mówi: „także i w granicach jednego gospodarstwa narodowego może się wytworzyć kombinacja gospodarki planowej i wolnej“. Ja osobiście jestem tego drugiego zdania, ale w takim razie spóżył życie liberalizmu i socjalizmu, jak mówi autor — a raczej wedle mnie nowy ustrój solidarystyczny, oparty na etyce

i przejmujący to z poprzednich, co jest żywotne i słuszne, wbrew pierwszej opinii autora jest możliwy.

Podobne sprzeczności zdarzają się autorowi i w innych miejscach. Na str. 192 wyraźnie i słusznie podkreśla, iż celem gospodarczej działalności człowieka jest zaspokojenie potrzeb. Na tem stanowisku, ograniczającym celowo produkcję jako punkt wyjścia opiera się cały ustrój solidarystyczny, w którym nie może być przesilen.

Ale tych konsekwencji autor nigdzie nie wyciąga. Przeciwnie potępia, że państwo „podtrzymuje wszystkich i wszystko” — „wkracza jako generalny kurator słabych, zarówno przedsiębiorców, jak i robotników, zagrożonych bezrobociem”. Ironja ta jest zupełnie nie na miejscu, choć mogłaby się podobać mniej inteligentnym członkom Lewiatanu. Bardziej inteligentni głośno przy najmniej nie wyrażą tu autorowi aprobaty. Najszlachetniejszym i najmądrzejszem zadaniem państwa, miarą jego kultury jest opieka udzielana przezeń słabym. Kościół katolicki, do którego zasad przyznaje się bez zastrzeżeń stronnictwo autora, wyraźnie w encyklikach *Rerum Novarum* (1891) i *Quadragesimo anno* (1931) stało na tem stanowisku. A tu leader tego stronnictwa wypowiada poglądy wyraźnie odmienne. Muszę więc uznać to zdanie za nierozumne poślizgnięcie się autora a to tem więcej, że w całym ustępie mowa jest przede wszystkim o przedsiębiorcach a autor chciał właściwie zganić tylko podtrzymywanie „za wszelką cenę” tego, „co się wali”. Problem robotniczy jest całkiem odrębny a opieka nad robotnikami zagrożonymi bezrobociem ma najgłębsze podstawy i w religji i w istocie i celu społeczeństwa — oraz w rzetelnem pojmowaniu równouprawnienia. W jaki sposób wyobraża sobie autor „wybrnięcie z przesilenia bezrobotnych” bez wkraczania państwa „jako generalnego kuratora słabych”?

Za główną ujemną stronę gospodarki planowej uważa autor przymus, biurokratyzację, podtrzymywanie nierentownej, nieopłacającej się działalności gospodarczej, innymi słowy niedołęgów, „za których deficyty... Grecja płaci” (str. 213). Autor uważa, że wtedy polityka rujnuje gospodarstwo.

Na to należy odpowiedzieć, nie biorąc naturalnie w obronę ani ciasnej biurokratyzacji, ani częstych pomyłek etatyzmu, że państwo powinno podtrzymywać niezdolnych do życia tam, gdzie wyższe względy zagospodarcze za tem przemawiają. Czy

autor nie byłby np. za faworyzowaniem w ten lub ów sposób polskiego kupiectwa, polskiego przemysłu, polskiej bankowości, osadnictwa wojskowego na kresach wobec kupców, przemysłowców, bankowców, rolników należących do mniejszości narodowych, czy nie dowodziłby najwymowniej, że państwo ma jeszcze inne zadania, oprócz protegowania silnych? A przecież kupiectwo polskie, przemysł i bankowość polska nie mają u nas tradycyj wielowiekowych i skutkiem tego liczebnie i fachowo są niewątpliwie słabsze od niepolskich, osadnicy wojskowi polscy na kresach nie znają tak dobrze właściwych metod gospodarowania, jak osiadła od wieków na miejscu większość, należąca do jednej z mniejszości narodowych i t. d.

Autor uznaje w zasadzie za pożyteczną ingerencję państwa ale tylko wtedy, jeżeli „zakazy nie będą zbyt liczne”. „Jak daleko może iść państwo, to już jest zagadnienie natury ilościowej” (str. 216). Nie zdaje mi się, aby rozstrzygać tu mogła liczba. „Zakazów” winno być poprostu tyle, ile wymaga tego potrzeba. Przewidywać tego nie można. Im przebieglejsze i bardziej skomplikowane będą obchodzenia ustaw, tem więcej potrzeba oczywiście zakazów.

Autor nie jest zadowolony z przedsiębiorców, układających dobrze swoje stosunki z władzami (str. 216) i krytykuje że w kartelu „rządzi ten, kto ma łaskę pańską” (str. 218). To już jest sprawa między nimi a rządem, w której nie mam zamiaru zabierać głosu. To tylko należy powiedzieć w obronie przedsiębiorców, że daleką jest z pewnością od nich pobudka ułatwiania rządowi przejścia do gospodarki planowej. Wszak wówczas straciliby olbrzymie dochody, podczas gdy lawirując z rządem, czyniąc mu w razie konieczności małe ustępstwa utrzymują na rzecz własną trzon swych faktycznych i prawnych przywilejów. Ich ustępliwość skończyłaby się natychmiast i przeszliby do skrajnej opozycji, gdyby widzieli, że rząd zmierza do ich wywłaszczenia. Wielu z nich dziś nie płaci podatków ani świadczeń socjalnych, zamyka przedsiębiorstwa, zastanawia wypłaty, a rząd postępuje z nimi niezmiernie oględnie i łagodnie. Gdyby zalegając z podatkami etc. jeszcze robili opozycję, może rząd nie byłby tak pobłażliwy. Może to być przykre dla stronnictw opozycyjnych, ale tak jest a rozumu i logiki przemysłowcom odmówić niepodobna. Pozatem „łaska pańska”, jaką się rzekomo cieszą niektórzy leaderzy wielkiego przemysłu, może pochodzić i stąd, że oni lepiej rozumieją całokształt interesów swej ojczyzny i tam,

gdzie nie zachodzi kolizja z ich interesem materialnym, działają na korzyść tego państwa.

Jeżeli autor nie może się zdecydować, czy w przyszłości zwycięży idea umocnienia gospodarczej wolności czy gospodarka planowa (str. 220), to dlatego, że pomija istnienie idei wyższej ponad obie, idei sprawiedliwości społecznej, ku której niewątpliwie idziemy. A tak wolność gospodarczą jak i gospodarstwo planowe są tylko drogami ku temu szczytnemu celowi. Ani jedna ani druga nie mogą być same w sobie rzeczą pożądaną, a będą nią tylko jako środek do celu. Ekonomia pozbawiona myśli przewodnich, zaczerpniętych z etyki, pozostanie zawsze nauką jałową.

II.

W drugiej swej książce p. t. „Przyszłość gospodarcza Polski“, świeżo wydanej, zaznacza autor wyraźnie, co zawsze silnie podkreślałem, duże znaczenie „świadomej woli kształtowania przyszłości“ (str. 5), a tem samem zwraca się przeciw liberalnej tezie o niezmiennych prawach gospodarczych, choć tego wyraźnie nie wypowiada. Zaznacza również słusznie, że nie są pożądane wielkie różnice majątkowe oraz że upatrywanie najwyższego celu życia tak jednostki jak i narodu w użyciu materialnem i uznawanie pieniądza za najwyższe dobro prowadzi je do upadku (str. 7). Słusznie również podkreśla konieczność wielkich wydatków wojсковych ze względu na potrzebę obrony naszego państwa, posiadającego niekorzystne granice (str. 14). Charakteryzuje oszustwa, popełniane u nas przez wielką ilość spółek akcyjnych w następujących słowach: „Cała masa papierów okazała się bez wartości — wypuszczano je, by znęcić naiwnych. Nawet wielkie przedsiębiorstwa... dopuściły do nadmiernego rozwodnienia swojego kapitału zakładowego. Sumy uzyskiwane z emisyj, szły na koszty handlowe i administracyjne“ to znaczy poprostu: na pensje dyrektorów i tantiemy tychże oraz członków rad nadzorczych. „Spółki akcyjne nie płacą dywidendy swoim zwyczajnym akcjonariuszom, albo też płacą bardzo mało, a natomiast grupa rządząca w spółce, często reprezentująca małą część kapitału akcyjnego, ciągnie dochody w postaci dywidendy od akcyj uprzywilejowanych,

a przedewszystkiem w postaci wysokich wynagrodzeń dyrekcji i zarządów. Odbywało się na wielką skalę wywłaszczenie akcjonariuszy z należnego im dochodu" (str. 24 — podkreślenia moje). „Zasobniejsze spółki akcyjne, które miały dochody, stwarzały u siebie ciche rezerwy, robiły inwestycje, nie ujawniając zysków". Odmienne twierdzi w innem miejscu: „Na kosztach kierownictwa, kosztach handlowych etc. z reguły nie wiele da się oszczędzić" (!! (str. 150).

„Zagraniczny kapitał opanował przez kredyty cały szereg wielkich przedsiębiorstw w Polsce, zarówno w sferze przemysłowej jak handlu i bankowości" (str. 25). Czysty deficyt z tego tytułu wynosi za czterolecie 1927—1930 — 1.297 milionów zł. (str. 37). Zwiększenie się stanu posiadania obcego kapitału w naszym majątku narodowym wyniosło wedle obliczeń Gł. Urzędu Statystycznego w latach 1925—1930 — 5.138 milionów zł. (str. 38), a i ta cyfra, acz wysoka, jest — jak autor podnosi słusznie — za nisko obliczona. „Dopiero jakieś wielkie bankructwo, jak np. Amstelbanku, uwydatnia, jak głęboko sięgnął zagraniczny kapitał, jak bardzo uzależnił od siebie przedsiębiorstwa, które uchodziły za krajowe". Całe zadłużenie prywatne Polski po potrąceniu naszych wierzytelności zagranicą przyjmuje Rybarski w kwocie 4.662 milionów zł. (oprócz tego zadłużenie naszego państwa 4.553 milionów, samorządów, przedsiębiorstw państwowych itd. 885 milionów zł.). Na procenty od tych długów wydajemy tyle, iż bilans nasz płatniczy wykazał już w r. 1930 deficyt w kwocie 287 milionów zł. Deficyt ten ma tendencję do dalszego wzrostu. Ratunkiem jedynym może tu być tylko wydatna poprawa bilansu handlowego. W tym kierunku idzie polityka rządu. „Przywóz spadł z 2.246 milionów zł. w r. 1930 na 1.462 milionów zł. w r. 1931 czyli o 35%. Równocześnie spadł także wywóz, choć w mniejszym stopniu, z 2.435 milj. na 1.878 milj. czyli o 23%" (str. 43). Nadwyżka naszego bilansu handlowego, wynosząca w r. 1930 187 milj., doszła więc w r. 1931 do 416 milionów. W ten sposób pokrywamy deficyt długów zagranicznych i pozostaje jeszcze pewna nadwyżka na inne cele, w szczególności na powiększenie naszych zasobów kruszcowych.

Nasz bilans handlowy jest w wysokim stopniu czynny. W latach 1911—1913 Stany Zjednoczone miały nadwyżkę wywozu nad

przywóz w wysokości 34%, Rosja carska w wysokości 24%. Polska miała w r. 1931 nadwyżkę, 28.5%, w pierwszych ośmiu miesiącach 1932 — 23.8%, a więc bardzo znaczną. (W cyfrach: w r. 1929 — 274 milj. zł.; w r. 1930 — 325 milj. zł.; w r. 1931 — 204 milj. zł.; w 8 mies. 1932 — 67 milj. zł.).

Wprawdzie naogół panuje przekonanie, że „aby importować na cudzy rynek, trzeba na tym rynku zakupić odpowiednią ilość towarów“ (str. 45). Zapatrywanie to jednak nie sprawdza się w wypadku, gdy produkcja jakiegoś towaru w pewnym kraju jest bądź monopolistyczna (np. pewne minerały), bądź zbyt jego odbywa się po cenie bardzo niskiej (np. dumpingowej). W obu wypadkach kupuje się dany towar we własnym interesie mimo braku wzajemności. Wywóz nasz do krajów wierzycielskich jak Anglja, Stany Zjednoczone, Francja, Holandja, Belgja i Szwajcarja, bardzo znacznie się wzmógł. Wynosił on:

w r. 1925	15.6%
w r. 1926	28.1%
w r. 1927	21.3%
w r. 1928	17.6%
w r. 1929	20.2%
w r. 1930	24.2%
w r. 1931	33.3%
w 8 miesiącach 1932	36.4%

Autor nie ma nic przeciw polityce protekcyjnej. Słusznie jednak zaznacza, że obniżanie cen zagranicznych poniżej kosztów robocizny i surowca „budzi zastrzeżenia i spory“ (str. 55). To obniżanie cen znajduje bowiem równowagę i pokrycie w wysokich cenach wewnętrznych, co podraża w rezultacie ceny robocizny, surowców i półfabrykatów, a więc wszystkie koszty produkcji i podwyższa podatki.

Przyklasnąć należy dalej uwadze autora, że przemysł w Polsce, dlatego że w bardzo znacznej części jest w rękach obcych, (co zaznaczyłem na I zjeździe ekonomistów w Poznaniu 1929 ku wielkiemu niezadowoleniu owych obcych), nie myśli wcale o tem, by produkować na eksport, a czasem nawet pragnie zatamować polską produkcję w pewnym kierunku jako „sztuczną“, bo czyniącą konkurencję przemysłowi ich ojczyzny. Autor podkreśla, że rozbudowa portu w Gdyni uwalnia nas od ciężącego na nas od wieków pośrednictwa niemieckiego, i słusznie zaznacza, że winniśmy do

tego dążyć, by bodaj cały handel zagraniczny znalazł się w rękach, służących z przekonania interesowi polskiemu.

Dowiadujemy się z książki, że firma Scheibler i Grohman w Łodzi uzyskała w Banku Gosp. Krajowego pożyczkę wynoszącą 22.076.000 zł., w Banku Polskim na 9 milionów zł., a ponadto skarż państwa udzielił firmie tej gwarancyj w wysokości 1.000.000 dolarów (8.920.000 zł.) i 6.250.000 fr. szw. (10.812.500 zł.) (str. 68). Razem więc skarż państwa zaangażował się w tej jednej firmie na kwotę 50.808.500 zł. (Stanisław Lauterbach podaje w nrze z 15. 2. br. biuletynu tow. polityk. gosp. włókiennictwa polsk. kwotę 8 milionów dolarów, a więc jeszcze większą). Autor uważa, że wątpliwem jest ściągnięcie tych kredytów. Nie słyszeliśmy jednak dotąd ani by otworzono konkursu do majątku spółki, ani by fabryka była wystawiona na licytację, nie słyszymy też o tem, czy prokurator państwa wdrożył dochodzenia w tym kierunku, z czyjej winy nastąpiło zachwianie jej interesów, skoro naogół interesy włókiennictwa w Polsce prosperują znakomicie (ceny przędzy bawełnianej w Łodzi poszły w górę o 15—30%, w przemyśle dzianym o 5—10%, jak to stwierdzają sprawozdania Banku Polskiego i Banku Gospodarstwa Krajowego). Wydatki na prasę, służącą interesom wielkiego kapitału przemysłowego nie mogły być przecież tak wielkie. Raczej dewaluacja funta obok olbrzymich pensyj musiała tu odegrać dużą rolę. Ale dlaczego nie w innych firmach, tylko właśnie u tej firmy sanowanej obecnie, jak wiadomo, przez Bank Gospodarstwa Krajowego?

Autor piętnuje lekkomyślność kredytową, istniejącą u nas „w bardzo wielu wypadkach“ (str. 70). „Wiesz stała się konsumentem prawdziwych lub udawanych wyrobów jedwabnych, lepszego obuwia, a każdy niemal ziemianin chciał mieć własny samochód. Dzisiaj chłopci chodzą bez butów, a ziemianie sprzedają konie cugowe. Nowa burżuazja po miastach budowała większe wille, nie licząc się z kosztem. Zagranicę dla celów wypoczynkowych zaczęli jeździć nie tylko ludzie, którzy na to sobie zarobili, lecz i ci, którzy na te i tym podobne cele zdołali zaciągnąć długi“ (str. 71). Słusznie żąda autor redukcji kredytów na cele konsumcyjne (str. 72), słusznie zwraca się przeciw wzrastowi zadłużenia państwa, zwłaszcza, jeśli idzie o pożyczki krótkoterminowe (str. 73). Zapomina jednak, że raty kredytu budowlanego pokrywa się równowartością czynszu, płaconego dotąd za mieszkanie w cudzym do-

mu, oraz że budowa dróg, którą również traktuje krytycznie, zawsze pośrednio służy także handlowi wywozowemu i przywozowemu.

Mówiąc o pożyczkach, wygłasza zasadę elementarną, iż pożyczać wolno tylko na takie cele, które się opłacają, a zgodzić się tylko na takie terminy spłat, które odpowiadają terminowi oprocentowania inwestycji, uskuteczionych przy pomocy zaciągniętych pożyczek. Ale psychologia naszego pożyczającego niestety dotąd zwykle ogranicza się do zrozumienia pożytku z pożyczonych pieniędzy, nie sięga zaś poza tę chwilę — ani do celu pożyczki, ani do terminu i warunków jej oddania. Dobrze więc czyni autor, że te rzeczy czytelnikowi tłumaczy, bo nie dla wszystkich jeszcze ta Ameryka została odkryta.

Wedle dzieła Smereka: Bilans płatniczy Polski w r. 1929, udział zagranicy w kapitałach własnych naszych spółek akcyjnych wynosił w górnictwie naftowym 76.5%, w hutnictwie 65.4%, w przemyśle chemicznym 40.6% itd. Należy jednak uwzględnić, że górnictwo i przemysł górnośląski nie są w istocie polskie, choć siedziby odnośnych spółek akcyjnych mieszczą się w kraju, że w wielu wypadkach zagraniczni wierzyciele rządzą i krajowymi spółkami, np. przemysłem włókienniczym w Łodzi. Tak samo w bankowości i ubezpieczeniach faktycznie przeważa kapitał zagraniczny. Dla poprawy położenia dłużników Rybarski zaleca 1) dobrowolną redukcję wierzytelności banków państwowych, 2) nie przedłużanie żywota „ogromnej masy“ chorych dłużników „których nikt i nie uratuje“ (str. 84) przy pomocy udzielania im kredytu.

Ponadto jest zwolennikiem redukcji liczby funkcjonariuszy państwowych (str. 96), przerastającej zdolność płatniczą społeczeństwa — co da się uskutecznić tylko w drodze ograniczenia gospodarczej działalności państwa. Autor spodziewa się, że wówczas życie gospodarcze odżyje, a skarb państwa na tem skorzysta. Parę stron dalej stwierdza jednak, że „banki państwowe, zajmujące się szeroko finansowaniem różnych prywatnych przedsiębiorstw przemysłowych, stały się ich głównymi wierzycielami, a potem częściowo ich właścicielami, czasami w sposób przez siebie nieoczekiwany“ (str. 100). Znaczy to, że zachwalana przez autora inicjatywa prywatna korzysta obficie z kredytu w bankach państwowych, którego jej nie skąpiono, że jednak nie zdołała się wywiązać z zaciągniętych zobowiązań,

wskutek czego banki państwowe musiały prowadzić egzekucje, a celem zaspokojenia swych wierzytelności, dla braku innych nabywców, nabyć dla siebie owe przedsiębiorstwa prywatne. Oto prawdziwe wytłumaczenie wzrostu przedsiębiorstw publicznych. Że i autor tak myśli, dowodzi jego własna uwaga: „Z funduszków publicznych znajdują się dziesiątki milionów na podtrzymanie wielkich zakładów fabrycznych, a potem B. G. K. nie może ujrzyć zpowrotem pożyczonych pieniędzy“ (str. 153/4). Rząd, choćby ze skłonności i intencji nie był wcale etatystyczny, staje się nim więc z konieczności, z winy przedsiębiorstw prywatnych, które nie płacą swych długów!

Słusznem jest natomiast wytknięcie, że długotrwałość budów państwowych podnosi znacznie ich koszt. Jeśli np. kolej 88 kilometrową buduje się przez lat 6, drugą 57 kilometrową przez lat 8, trzecią 2 i pół kilometrową przez lat 4, to oczywiście zwiększa to niepomrotnie kosztu nadzoru i konserwacji oraz stopę procentową od włożonego kapitału, który się jeszcze nie rentuje.

Umiarkowaną i słuszną jest też konkluzja autora, że wprowadzie „istnieją dziedziny, w których państwo może dobrze gospodarzyć“, ale należy prowadzić gospodarkę naprawdę fachową, przestrzegać zasady, że pracownicy państwowi są ściśle odpowiedzialni za swe czynności i że nad nią powinna istnieć jawna kontrola (str. 104). To wszakże może być wykonywane już dziś i niema potrzeby dlatego „mniej robić, by popełniać mniej błędów“. Należy tylko lepiej przygotować fachowców, gruntowniej ich wykształcić, wpoić w nich ducha odpowiedzialności i zwartą elitę wyposażyć w prawa uczciwej i bezwzględnej kontroli.

Dlaczego jednak autor nie udziela tych rad także i inicjatywie prywatnej? Jej przygotowanie fachowe w wielu wypadkach ogranicza się do „umiejętności“ bilansowania tak, żeby ukryć bodaj część dochodów, zręcznego przenoszenia zbędnych kapitałów do banków zagranicznych oraz lamentowania na fiskalizm rządów. Naciąga się Bank Gosp. Kraj. na duży kredyt. Następuje koniec żałosny. Bank nabywa dany obiekt lub zaprowadza w nim zarząd przymusowy. Gdyby fachowcy byli gruntownie wykształceni, mieli poczucie odpowiedzialności i poddawali się chętnie kontroli, przebieg i koniec byłby z pewnością inny.

To, co autor pisze o kartelach, są to również rzeczy znane i w dyskusji na I zjeździe ekonomistów polskich w Poznaniu w r.



1929 wyczerpująco przezemnie omówione, niemniej przeto zaznaczyć należy, że stanowisko Rybarskiego zajęte w sprawie karteli jest przynajmniej częściowo słuszne. Nasze drożdźarnie utrzymują wysokie sztywne ceny mimo, że na ich usprawiedliwienie nie mogą nawet powoływać się na sprzedaż zagranicą po cenach nieopłacających się. W ten sposób kartel drożdżowy sprzyja wzrostowi importu do Polski, nadto zaś wyzyskuje pośredników, dając im za małe opusty. „W poszczególnych kartelach za dużo idzie na różne zbędne wynagrodzenia, na nadmierny personel kierowniczy; niektóre kartele niepotrzebnie budowały kosztowne gmachy reprezentacyjne“ (str. 116). Autor sądzi jednak, że drogą obniżek nie dojdzie się do istotnego efektu tj. do uprzystępnienia cen wyrobów przemysłowych dla konsumentów. Zapewne nie ma na myśli obniżek dość wydatnych i konsekwentnych.

Jeżeli z jednej strony pojmuje ustroj kapitalistyczny jako taki, w którym ceny reguluje współzawodnictwo, a z drugiej dopuszcza w nim organizacje producentów, panujących nad rynkiem i ograniczających to współzawodnictwo (str. 117), to popada w nieuchronną ze sobą sprzeczność. Wszelka bowiem taka organizacja z natury rzeczy zmierzać będzie do całkowitego uchylecia współzawodnictwa i do dyktowania cen. Kartele dowiodły, że tak jest w istocie. Można wyobrazić sobie mądrzejszych i lepszych ludzi, niż dziś i można ku temu dążyć. To jest realne i to jest punkt wyjścia i program solidaryzmu.

Ale nie można wyobrazić sobie, aby ludzie wyhodowani wyłącznie na bakterjach zysku i egoizmu wstrzymywali dobrowolnie ten swój rozwój w punkcie, który podobało się autorowi oznaczyć. Z jednej strony kartele, z drugiej konkurencja, z jednej zyski, z drugiej straty. Ostatnie nieuniknione w imię „zasady“ kapitalizmu.

Ale kto zechce się im poddać, zwłaszcza gdy będzie miał w ręku tak dogodny instrument władzy, jak kartele? Cennem jest w tych warunkach przyznanie autora, że w razie wyłączenia ryzyka (co właśnie jest istotnym celem karteli), „znika cała wartość tego ustroju“ (zapewne kapitalistycznego).

Nastawienie autora jest zasadniczo liberalne, choć wyrzeka się liberalizmu (str. 200), boi się więc kontroli i wpływania władzy na cenę produktu i na wysokość dochodu przedsiębiorcy. Nie sprzeciwia się temu, by ceny zboża oznaczała giełda, a ceny robocizny

przedsiębiorcy a choćby taryfa. Ale gdy idzie o wysokość dochodu przedsiębiorcy, budzą się u niego wątpliwości. Nie żąda też przymusowej rejestracji karteli, poprzestaje na żądaniu ogłaszania przez nie sprawozdań oraz rachunków strat i zysków (str. 120). Widocznie nie zdaje sobie z tego sprawy, że główną rzeczą jest tu treść umowy kartelowej, która zawierana przez obcych, może być wymierzona pośrednio nawet na szkodę państwa i krzyżować jego politykę gospodarczą.

W dziedzinie karteli autor sprzeciwia się dyktowaniu cen, rozstrzyganiu o stanie zatrudnienia i o płacach (str. 189). Czy ma rację? Czy wobec licznych nadużyć karteli państwo ma poprzestawać na represji czy też ma i prawo prewencji, przeszkodzenia i zapobiegania nadużyciom przez zakładanie veta przeciw nadmiernym cenom i katastrofalnie niskim płacom? Dlaczego znajdujemy zupełnie naturalnymi taryfy na mięso i chleb, dlaczego ścigamy piekarzy, rzeźników i przekupniów w razie ich przekroczenia, a dlaczego władza państwa ma być bezsilną z chwilą, gdy idzie o stokroć niebezpieczniejszych, bo wielkich gwałcicieli prawa?

Nie ulega kwestji, że gdyby cukier był tańszy, toby spożywano go więcej (str. 97). Winę tu ponosi dumping uprawiany przez kartel cukrowy. W Polsce pije się mało kawy, kawa bowiem jest u nas za droga, ale i to dzieje się skutkiem porozumienia między importerami kawy. Tu niema miejsca dla zarzutów pod adresem rządu, chyba w tym kierunku, że dotąd nie wprowadził ustawy kartelowej i czyni to dopiero dzisiaj. Ale wszak autor i dziś jest takiej ustawie przeciwny.

Następnie nie mogę pogodzić się z zasadniczą tezą autora, jakoby celem naszym głównym była kapitalizacja i „jakobyśmy mieli za mało kapitału, aby główną uwagę skupić na rozdziale bogactwa” (str. 19), tem mniej, jakoby była „uniwersalnem lekarstwem na niedomagania gospodarcze” (str. 125). Najgłówniejszą rzeczą w Polsce i na całej kuli ziemskiej jest człowiek a ani kapitalizacja ani produkcja. Okoliczność, czy mamy więcej czy mniej kapitału, nie może uchylić tej zasady. Pod żadnym warunkiem i w żadnym wypadku nie możemy przez palce patrzeć na bezwzględne sposoby gromadzenia majątku choćby ze strony najbardziej rodzimych kapitalistów, połączone z krzywdą dla idei sprawiedliwości społecznej, nie wolno nam im pobłażać, bo niema wyższej zasady w ekonomice nad etykę.

Pozatem do wzrostu kapitalizacji przyczynić się winni przede wszystkim ci, którzy najwięcej będą z niej sami korzystali, tj. kapitaliści. Otóż jeżeli oni uciekają ze swym kapitałem zagranicę lub lokują go w obcych walutach, to oczywiście przeciwdziałają kapitalizacji w najwyższym stopniu i przede wszystkim przeciw nim wypuszczać należy wszystkie gromy, jakimi autor rozporządza.

Głównymi nabywcami naszych listów zastawnych i obligacji, których było do końca r. 1931 — 2.215 milionów zł. w obiegu, jest państwo i P. K. O. oraz zakłady przymusowych ubezpieczeń. Część tych papierów ulokowana jest zagranicą. A najmniej jest nabywców w kraju. Autor wyszczególnia, że z papierów emitowanych przez BGK. w sumie 787 milionów — 196 milionów miało Min. Skarbu, 180 milionów PKO., 138 milionów zakłady ubezpieczeń, 59 milionów Bank Polski, 155 milionów zagranicą, a prywatni kapitaliści w Polsce tylko 60 milionów (str. 21). Znaczy to, że mają oni 2 i pół razy mniejsze zaufanie do pierwszorzędných papierów wartościowych, wydawanych przez BGK., niż zagranicą! Ale autor nie wybucha tu pod adresem krajowych kapitalistów, ich małoduszności, obojętności i zaślepienia należnem oburzeniem.

Autor konstatuje, że u nas w odróżnieniu od zagranicy przesilenie nie przyniosło ani potaniaenia kredytu ani nie zwiększyło łącznej sumy wkładów oszczędnościowych (str. 27). Z tego faktu wyprowadza wniosek słabego tempa kapitalizacji. Mojem zdaniem fakt ten dowodzi czego innego, a mianowicie tego, że wielkie sumy zaoszczędzone i nagromadzone przez kapitał w Polsce dlatego nie stają do konkurencji, dlatego więc nie szukają lokaty ani we wkładach oszczędnościowych ani na rachunkach bieżących banków, bo są albo zagranicą, albo uwięzione są w obcych walutach. Niestety — powolny wzrost wkładek w Polsce (w Czechach na głowę ludności 544 zł., we Włoszech 515 zł., w Austrii 287 zł., nawet w Hiszpanji 96 zł., tylko w Polsce 36 zł.) (str. 28), dowodzi powszechności tego zjawiska, które jest zresztą notoryczne. Szczupła zaledwie mniejszość ludzi lokuje kapitały w Polsce i w walucie polskiej, reszta biada nad naszą nędzą a starannie ukrywa swój majątek przed okiem władz skarbowych na to tylko, aby go stracić w obcych bankach spekulacyjnych! Krótkowidztwo sfer kapitalistycznych jest doprawdy niezwykle!

Prof. Rybarski jest za mądry, by przypuścić — co się czasem pisze w gazetach lub powtarza analfabetom gospodarczym, — że to

wszystko dzieje się dlatego, iż nie endecy są u steru. Przypuśćmy na chwilę, że endecy mają w 100% rację, a za obecnymi rządami nie a nie przemawia. Ale czy kapitalistom i przemysłowcom polskim, będącym w 70—80% obcymi, jak to sam autor konstatuje, naprawdę iść może o to, by endecja objęła ster państwa? Czy np. Niemcy, których przecie zwalcza endecja, a którzy dostarczają licznego kontyngentu owych przemysłowców, mieliby być nagle endekami? Tego dotąd nikt nie twierdził i zdaje się sam prof. R. temu nie wierzy. Właściwy powód zachowania się kapitalistów krajowych nie ma w istocie nic wspólnego z polityką. Jeśli więc suma rachunków bieżących, żyrowych i czekowych po bankach kurczy się u nas z każdym rokiem, to oczywiście dlatego, że ci, o których autor tak bardzo dba, których wzrostowi kapitalizacji nie chciałby w niczem przeszkadzać, w istocie nie bardzo dbają o Polskę i nie bardzo w nią wierzą. Jakżeby inaczej wytłumaczyć, że rachunki bieżące etc. wynosily u nas:

w r. 1930	1226.4 milionów zł.
w r. 1931	1002.1 „ „
w pierwszej połowie 1932	845.8

Miljonowy ogół naszych współobywateli wierzy w Polskę i pragnie jej służyć; niewątpliwie należą tu masy we wszystkich obozach. Masy rozumieją trafnie, że to nie jest sprawa partyjna, ale ogólno-polska. Że w Polskę nie wierzą obcy, to właściwie nie dziwne. Dziwnem jest tylko, że autor dba w tych warunkach więcej o kapitalizację, niż o rozdział, pragnący dopuścić masy całem sercem polskie do większego niż dotąd udziału w dochodzie społecznym. Dowodzą tego słowa: „U nas długie jeszcze lata kapitał będzie droższy, dlatego też towary i robocizna muszą być tańsze“ (str. 61). Więc w interesie kapitalizacji należy poświęcić interesy rolnictwa, rzemiosła i przemysłu nieskartelizowanego oraz robotników, aby tylko kapitał ruchomy miał nadal nieuszczuplony procent! Być może zresztą, że autor chciał tylko skonstatować rzeczywisty stan rzeczy, a nie wydawać sądu wartościującego. W takim jednak razie winien był to wyraźnie wypowiedzieć.

Oszczędzając wielkich kapitalistów, potępia jednak małych. Z oburzeniem opowiada, że właściciel starego powozu wartości 500 zł. wypożyczył go woźnicy i każe sobie płacić za wypożyczenie po 5 zł. dziennie (str. 64). Niewątpliwie jest to zbrodniczo wy-

górowane wynagrodzenie, w danej spółce woźnica jest stroną wyzyskiwaną, a właściciel powozu wyzyskiwaczem. Ale bądź co bądź woźnica dzięki wypożyczeniu mu wozu może zarabiać pewną kwotę, a gdyby zarabiał mniej, niż potrzebną mu na życie nadwyżkę ponad 5 zł., może się każdej chwili zrzucić z umowy. O wiele szkodliwszym społecznie jest ten rodzaj lichwy, przy którym dłużnik nie może nigdy wyprodukować w własnym gospodarstwie takiej dla siebie korzyści, jaką płaci lichwiarzowi. Weźmy jako przykład lichwiarski procent płacony przez rolnika ponad normę najkorzystniejszego dochodu z roli itd. Woźnica w przykładzie Rybarskiego może jeszcze egzystować, rolnik płaćący dawniejszy, a choćby dzisiejszy procent gotówkowy w bankach, tem bardziej wyższy wierzycielom prywatnym, musi popaść w ruinę.

Rażam jest, że były wiceminister skarbu, który przynajmniej czas jakiś miał sposobność widzenia tego, co się dzieje za kulisami, powtarza bezkrytycznie rozpowszechniony i popularny, ale jakże jednostronnie tylko prawdziwy komunał o wygórowanych naszych podatkach. W państwie, w którym tylu ludzi zataja prawdziwe dochody, zataja majątki, przekręca bilanse, przemycą towary zagraniczne na wielką skalę, musi rząd, który chce spełniać swój obowiązek, używać sposobów fiskalnych. Na sztukę odpowiada się sztuką. Kto zna stosunki, wie, że w wielu bankach i spółkach przemysłowych układa się bilanse tak, aby i akcjonariusze dostali jak najmniejsze dywidendy i państwo jak najmniejszy podatek obrotowy. Kwalifikacje buchalterów wprost ocenia się wedle tego, czy umieją odpiścić jak najwięcej na fundusz rezerwowy etc. To nie są wypadki wyjątkowe, jak gdzieindziej, to są zjawiska częste. Gdy przejeżdżając z zagranicy zgłosiłem jakiś towar kupiony zagranicą, cały wagon obsypał mnie zarzutami i powiedziano mi z największym oburzeniem, „że tak tylko profesor mógł postąpić“, a więc człowiek nieżyłowy, niepraktyczny, nie dzisiejszy itd. Czy autor o tem przewartościowaniu wszystkich pojęć moralności, o tym zupełnym braku zrozumienia elementarnych obowiązków obywatela w dzisiejszym społeczeństwie nic nie wie? A jeśli wie, to dlaczego nie strofuje społeczeństwa a występuje przeciw rządowi o fiskalizm? Gdyby obóz endecki był u steru rządu, ja nie zmieniłbym oczywiście swoich poglądów, ale przypuszczam, że autor jako minister skarbu mówiłby wówczas zupełnie inaczej. Istnieje wszędzie a więc

i u nas szerokie pole walki z rządem. Ale istnieją też pewne konieczności państwowe. Do nich należy dbałość o dobro skarbu, do którego wszyscy ciągle mają coraz większe wymagania. Stronictwo, które pragnie okazać swą dojrzałość do objęcia rządów, winno wykazać ją w takich sprawach i tu, podobnie jak np. w sprawie uposażenia wojska i w sprawach zagranicznych popierać rząd. Tem większy ciąży tu obowiązek na wybitnym fachowcu, którego rzeczą jest objaśnić swoje stronictwo, że trzeba obywateli przede wszystkim wychować w duchu uczciwości podatkowej, a poprzestać na kontrolowaniu rządu w tym kierunku, jak uchwalonymi i ściągniętymi pieniędzmi się rozporządził. Wówczas stronictwo opozycyjne zyska na godności i powadze, a gdy kiedyś obejmie rządy, będzie miało do czynienia z lepszym materiałem ludzkim, aniżeli ten, jaki dziś rząd ma przed sobą.

Jako główną przyczynę kryzysu na tle gospodarki światowej podaje się nadprodukcję i sam autor w pierwszej swej książce słusznie wykazywał ujemny wpływ racjonalizacji produkcji w tym względzie. Nikt natomiast nie podaje nadprodukcji jako głównej przyczyny kryzysu w Polsce. Łatwo więc przychodzi autorowi zwalczać tę teorię argumentem, że „przez to, iż zje się zapasy, zubożały konsument nie będzie bogatszym“ (str. 107).

Autor twierdzi, że „co najmniej 85%, jeśli nie 90% całej wytwórczości w Polsce idzie na potrzeby rynku wewnętrznego“. Biuro ekonomiczne prezesa rady ministrów podaje w wielkiej publikacji: „Życie gospodarcze Polski w wykresach“ (str. 60) daty odmienne. Wedle niego eksportujemy około 20% naszej produkcji przemysłowej, około 5% naszej produkcji zbożowej i od 20—25% naszej produkcji hodowlanej.

Autor sądzi, że przeciw idei korporacjonizmu przemawia fakt, że robotnicy „przenoszą się z łatwością z jednej gałęzi produkcji do drugiej“ (str. 154). Zapomina o tem, że tak być może jedynie odnośnie do pracy najniższego rzędu i najgorzej płatnej, że natomiast wszędzie, gdzie idzie o robotnika kwalifikowanego czy też o czeladnika w rzemiośle, przenoszenie się z jednej gałęzi produkcji do drugiej może odbywać się tylko w ciasnym zakresie. Przykład faszystowskich Włoch przekonywa, że rzeczywistość nie potwierdza pesymistycznych poglądów autora i że tam, gdzie rząd dba rzetelnie o dobro robotnika, bierze go w obronę, ustanawia płace — wytwarza się naturalna solidarność interesów między przedsiębiorcą

a robotnikiem. To samo ma miejsce tam, gdzie robotnicy otrzymują poza płacą w miarę wyników bilansu akcje pracy tudzież tam, gdzie płaca ich ulega podwyżce w miarę większego odbytu lub podwyżki cen jednostkowych (ruchoma skala płac).

Autor wierzy zasadniczo w „antagonizm między kapitałem a pracą“ (str. 135), (aczkolwiek pragnie jego złagodzenia, str. 145 i 147). Takby było, gdyby dochód brutto, dzielony następnie między przedsiębiorcę i robotnika (po potrąceniu kosztów surowca, amortyzacji maszyn i procentu od kapitału) dał się porównać z prostokątem, podzielonym kreską na dwie części. Oczywiście wówczas im większą będzie część jedna, tem mniejszą druga i odwrotnie. Jeżeli jednak przyjmujemy, że ów prostokąt ma jedną ścianę otwartą, to wynika stąd, że możliwym i pożądanym będzie wypadek, w którym równocześnie i przedsiębiorca i robotnik uzyskają wzrost swych dochodów i to nawet nie kosztem konsumenta, który równocześnie otrzymywać może towar po tej samej lub tańszej niż dotąd cenie. Tajemnica tej pozornej niemożliwości mieści się we wzroście odbytu. Robotnik zainteresowany w tym wzroście, otrzymujący odpowiednią dopłatę od przedsiębiorcy, odnajduje solidarność interesu swego z jego interesem. To jest właśnie ta czwarta linja graniczna prostokąta, przesuwająca się coraz wyżej i wydłużająca tem samem obie granice boczne.

Co do ubezpieczeń społecznych autor z jednej strony konstatuje słusznie, że „koszt ubezpieczeń pokrywa w przeważnej części pracodawca“ (str. 138), z drugiej dowodzi, że robotnikowi mającemu małą płacę, np. 100 zł. miesięcznie, trudno płacić wkładkę ubezpieczeniową, która przy wyższej płacy byłaby łatwiejszą do zniesienia tudzież, że na owej „przymusowej oszczędności“ (str. 140) ponosi uszczerbek oszczędność dobrowolna. Jest tu widoczna sprzeczność. Jeżeli gros premji płaci pracodawca — a tak jest w Polsce — w takim razie robotnik nie jest wcale obciążony. Gdyby przedsiębiorca opłat na niego przypadających nie był obowiązany uiszczać, robotnicy żądaliby podwyżki płac i to w sumie zapewne znacznie wyższej. Jest to tak jasne, że rozumieją to nawet ludzie przekonani liberalnych, ale orjentujący się dobrze w danej sprawie (np. prof. Lipiński). Przypuszczenie, że robotnicy nie obciążeni udziałem w opłacie np. kasy chorych, odkładaliby dobrowolnie odnośną sumę i lepiejby na tem wychodzili — jest bardzo dalekie od rzeczywistości, zarówno dlatego, że przesłanką jego musiałyby być

u członków proletariatu doza przezorności, równa ludziom inteligentnym, jak i dlatego, że płace w Polsce poza kilkoma uprzywilejowanymi zawodami są tak katastrofalnie niskie, że dobrowolnie nikt z nich nie oszczędzać nie może. Autor sam to stwierdza na str. 130/31.

Pozatem autor twierdzi, że „każdą instytucję społeczną trzeba oceniać przede wszystkim według jej wpływu wychowawczego a przymusowa oszczędność nie uczy oszczędzania, a bodajże od niej oducza“ (str. 141). Można o wychowaniu społeczeństwa mówić tam, gdzie jak w Niemczech, Anglii czy w Stanach Zjednoczonych istnieją płace, przewyższające nasze wielokrotnie. Tam, gdzie przeciętny miesięczny zarobek robotnika w hutach żelaza wynosił w lutym 1932 — 125 zł. 21 gr., a robotnika węglowego w tym samym czasie 142 zł. 95 gr. miesięcznie, gdzie w przemyśle skórzanym 66.8%, w garbarniach 64.7%, w przemyśle papierniczym 73.7%, ogółu robotników zarabiało mniej niż 40 zł. tygodniowo, w przemyśle drzewnym 84.1% ogółu robotników zarabiało mniej niż 30 zł. tygodniowo, a w przemyśle włókienniczym 30.6% ogółu robotników nawet niżej 20 zł. tygodniowo (co sam autor podaje na str. 130/1), zalecanie dobrowolnej oszczędności i zapał wychowawczy autora brzmi jak krwawa ironja!

Nasze ubezpieczenia społeczne niewątpliwie wymagają scaleń i zmniejszenia kosztów administracji. W tym kierunku istnieje projekt rządowy, który w tych dniach został uchwalony przez Sejm. Mojem zdaniem należało projekt ten posiadający wiele zalet, w książce omówić i ewentualnie wytknąć jego niedomagania lub zaproponować poprawki. Ogólne uwagi, które powyżej streściłem, nie wznoszą się ponad krótkowidztwo Lewiatanu, a po autorze jako wybitnym ekonomiście można było spodziewać się głębszej orjentacji.

Za to uwagi autora o wyżytku w chałupnictwie i o potrzebie poparcia przemysłu ludowego są bardzo cenne i należałoby pragnąć obszerniejszego ich przedstawienia i metodycznego ich opracowania.

Ważnem jest to, co autor mówi o naszym rzemiośle. Mamy prawie tylu ludzi zatrudnionych w średnim przemyśle i rzemiośle, co w wielkim przemyśle, górnictwie, w warsztatach kolejowych i przy robotach publicznych. Średnia wytwórczość, jako nie obciążona wielkimi długami, łatwiej przystosowuje się do zmienionych warunków, łatwiej znosi kryzys.

Autor narzeka na ograniczenia własności prywatnej w Polsce, doprowadzające ją wrzekomo do tego, że „pozostaje tylko na papierze”. Komunikacje, kredyt, handel zagraniczny, opieka lekarska, monopole są bądź w rękach państwa, bądź uprzywilejowane przez państwo. „Nie każdy zechce się trudnić przemysłem, lichwą lub sprzedawać wodę sodową” (str. 187). Czy to znaczy, że tylko te „branże” pozostały w Polsce intratnymi? Nie jest wykluczone, że powiedzenie autora, które jest tylko dowcipem, właściwym z trybuny parlamentarnej, będzie brane na serio i w dobrej wierze powtarzane przez niekrytycznych czytelników, wierzących w prawdę drukowanego słowa i powagę autora.

Autor obawia się, by państwo, podejmujące się zadań gospodarczych w szerszym niż dotąd zakresie, w razie niespełnienia nadziei z tem związanych nie „podniecało dążeń rewolucyjnych” (str. 196). Ale czyż liberalizm nie obiecywał, że wszystko będzie dobrze, gdy będzie nadal istniało współzawodnictwo i gdy państwo do niczego nie będzie się mieszało? Czyż nie twierdził, że płace robotnicze regulować może tylko stosunek popytu do podaży? I czy właśnie to stanowisko liberalizmu nie podnieciło w najwyższym stopniu „dążeń rewolucyjnych”? Nie z miłości do proletariatu, ale z konieczności i w interesie utrzymania ustroju własności prywatnej, którego nie wolno mieszać z ustrojem kapitalistycznym, wydano szereg ustaw socjalnych, biorących w obronę robotnika przed wyzyskiem. To był najwcześniejszy wyłom w twierdzy liberalizmu. Ale podczas gdy na zachodzie kwestja ta wydaje się przesądzona, gdy tam w drodze arbitrażu zapobiega się strajkom, przynoszącym niewątpliwą szkodę gospodarstwu narodowemu i obydwom stronom ze sobą walczącym, autor spodziewa się po samopomocy tj. po strajku lepszych rezultatów, niż po arbitrażu, kierowanym wyższą myślą państwową.

Słuszną jest uwaga, że ludzie w Polsce za wiele od państwa oczekują i że wszyscy żądają od niego na każdym kroku pomocy oraz że ingerencja państwa przekracza niejednokrotnie granice, zakreślone małym przygotowaniem fachowem powołanych czynników. Ale czy było lepiej przed r. 1926, w czasie gdy w pierwszych latach ponownego istnienia Rzpltej nie było wogóle budżetu, gdy ministrowie wydawali pieniądze bez aprobaty ministra skarbu i jego protesty uważali za bezprawne, gdy pobierali podatki w dewaluujących się z każdym dniem markach a płacili długi zagraniczne

w złości, gdy pozwalali na import obcych towarów i wyjazdy zagranicę bez ograniczenia i kontroli, gdy uważali za najwyższą mądrość zaciąganie długów zagranicznych itd. itd.?

Autor wierzy w wolność gospodarczą. Piszę równocześnie w naszej księdze zbiorowej: „Gdybyśmy się zgodzili na wolne współzawodnictwo między roślinami pożytecznymi lub kwiatami z jednej, a chwastami i kąkolami z drugiej strony i nie przeciwdziałali najenergiczniej rozwojowi drugich, rychło doczekalibyśmy się spustoszenia. Równie niedorzecznem i samobójczem byłoby współzawodnictwo między dwoma szybkobiegaczami, z których jeden okrażył już wielokrotnie metę, a drugi rozpoczyna dopiero start z właściwą wszelkim nowicjuszom niepokojem”. Sądzę, że te przykłady i argumenty właśnie ze stanowiska narodowego polskiego przemawiają za zgoda innemi konkluzjami aniżeli te, jakie wyciąga z bezspornych faktów autor.

Nie znaczy to, abym uważał, że nasz obecny niedorozwój ekonomiczny jest cechą trwałą. Właśnie ja dowodziłem w „Solidaryzmie” na przykładach Niemiec, Japonji i Stanów Zjednoczonych, że mądra polityka gospodarcza rządzących zmienić może dotychczasowe nastawienie, wydobyć ukryte zdolności danych narodów (str. 328—338). Nie mniej przeto na dziś i właśnie dlatego przeczę stanowczo, aby samo wolne współzawodnictwo i brak ingerencji państwa były właściwą metodą w naszym życiu gospodarczem.

Zgadzam się z autorem, że winniśmy wyrobić w sobie wytrwałość, solidność i fachowość w miejsce łatwego zniechęcania się, życia nad stan i dyletantyzmu i wraz z autorem gorąco tego pragnę.

Ale do tego przekształcenia charakteru narodowego nie dojdziemy, stawiając na pierwszym planie kapitalizację bez oglądania się na dobro większości, która w każdym narodzie a tem bardziej w naszym nie ma z czego oszczędzać. Sprawiedliwość społeczna wobec mas narodu utwierdziłaby w nich i pogłębiła miłość ojczyzny, o co autorowi słusznie tak bardzo idzie. Nie dopiero w czasie wojny, ale zawsze i stale należy o niej pamiętać.

Sprawa narodu jest zbyt świętą i wielką, aby miało się ją naginać do interesów zamożnego mieszczaństwa i części ziemiaństwa, dostarczających przeważnie zwolenników obozowi, któremu autor przewodzi. Skoro utarte ścieżki nie doprowadziły do celu, trzeba myśleć o nowych, tych, które wskazuje Kościół we wspaniałych

encyklikach: Rerum Novarum i Quadragesimo Anno. Mogą inne stronnictwa odnosić się do tego kierunku z nieufnością — autorowi jako reprezentantowi obozu tak silnie akcentującego swój katolicyzm, tego nie wolno. Dla obozu autora pozostaje jako jedyny kierunek w gospodarstwie społecznym — solidaryzm.*)



*) Zauważyłem jeszcze pewne drobne pomyłki. Na str. 28 pisze R., że wkłady oszczędnościowe w całej Polsce wynosiły 1,174.258 franków czyli okrągło wedle parytetu złota 2.018 milionów złotych. Pierwsza cyfra jest oczywiście mylna.

Na str. 51 czytamy, że 67 milionów zł. „stanowi mniej niż $\frac{2}{3}$ nadwyżki z r. 1931” (wynoszącej 204 milj. zł.). Winno tu być zapewne: $\frac{1}{3}$ nadwyżki.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
1010 S. MICHIGAN AVE.
CHICAGO, ILL. 60607
TEL. 777-3000

W. H. R. ...
...
...
...
...

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000723954



II 22972